

Znają mnie, choć nie wiedzą, jak się nazywam

Do Anny Dymnej wiele osób zwraca się o pomoc. Krakowska aktorka jest, jak mówi jej mąż, zjawiskiem socjologicznym. Otrzymuje setki listów.

— Czy pani wcześniej-
sze wyobrażenie o zawo-
dzie aktorki, o pracy w fil-
mie, w teatrze wytrzymało
próbę czasu?

— U mnie wytrzymało.
Dlatego, że nigdy nie chcia-
łam być gwiazdą, a nawet
aktorką. Kiedy byłam mło-
dą dziewczyną wydawało
mi się, że to jest najcięższy
zawód na świecie. Nigdy
nie pociągało mnie to, żeby
być w punkcie zaintereso-
wania, żeby się ludzie na
mnie gapili, żeby myśleli,
że jestem wspaniała i piękn-
a. Byłam zawsze bardzo
wstydliva i wydawało mi
się, że gdybym musiała tak
zdawać egzaminy przed
ludźmi i to codziennie na
scenie, to bym zwariowała.

Kiedy zostałam aktorką
i zaczęłam się mierzyć
z tym wszystkim, bardzo
mile się rozczarowałam.

— Trudno pani nosić
brzemie osoby znanej?

— Już w tej chwili nie
sprawia mi to większej
trudności, jakkolwiek ma
to różne strony i oblicza.
W pewnym momencie do-
wiadujemy się, że taka po-
pularność nie ma żadnej
prawdziwej wartości. Na-
uczyłam się z tym żyć i nie
zważać na to, że na ulicy
się na mnie gapią, że mó-
wią o nas nieprawdopo-
dobne rzeczy.

— Otrzymuje pani setki
listów, pani mąż nazwał
panią zjawiskiem socjolo-
gicznym...

— Tak. Te listy są nie-
zwykle ciekawe dla socjo-
loga jako obraz naszego
społeczeństwa. Ludzie pi-
szą o tym, że nie radzą so-
bie w nowej rzeczywisto-
ści. Dostają setki listów
wręcz szantażujących
mnie z prośbą o pomoc
pieniężną. Piszą, że mam
natychmiast zapłacić za
kogoś trzy, cztery tysiące
za prąd, kupić jedzenie,
kurtki. Ale piszą też lu-
dzie zupełnie bezradni,
kompletnie zagubieni,
którzy nie wiedzą do ko-
go mogą się udać ze swo-
imi problemami. Nawet
piszą listy bez adresów
zwrotnych. Są to często
ludzie chorzy, śmiertel-
nie, którzy myślą, że ja
mogę im pomóc i to jest
dla mnie obciążeniem.

Dostają listy od ludzi
z więzień, którzy nie mają
do kogo napisać.

Moja przyjaciółka psy-
cholog mówi „ty tego
w ogóle nie czytaj, bo zwa-
riujesz”, no, ale jeśli ktoś do
mnie napisał, to jak mam
nie czytać. Tak więc z tą po-
pularnością łączy się bar-
dzo dużo dziwnych zja-
wisk, z którymi musimy so-
bie na co dzień radzić.



Anna Dymna w serialu „Siedlisko” Janusza Majewskiego

Fot. Archiwum

**Nie chcę
wpuszczać
do domu
dziennikarzy,
bo nie
wszystko jest
na sprzedaż.**

— Jak przejawia się pani
popularność w Krakowie?

— Kiedy idę ulicą przez
Kraków, w którym mnie
chyba lubią, bo będąc ak-
torką z trzydziestoletnim
stażem czuję się już takim
Smokiem Wawelskim, to
słyszę: że jestem gruba, że
jestem chuda, że dobrze
wyglądam, że źle wyglą-
dam, jestem świetnie lub źle
ubrana itd. Trzeba mieć do
tego absolutny dystans. Po
reakcjach ludzi na ulicy do-
wiaduję się na przykład ja-
ki film z moim udziałem
właśnie jest emitowany, bo
słyszę: Jejku, to pani jesz-
cze żyje — to znaczy, że „Ja-
nosik” szedł, albo kiedy sły-
szę: „Z pani to tylko głos zo-
stał” — to znaczy, że „Zna-
chor”. Ludzie są wobec ak-

torów okrutni, ale to z kolei
jest równoważone tymi mi-
łymi oznakami kiedy dosta-
nę kwiatka, albo ktoś się
uśmiechnie, albo poprosi
o autograf. Niektórzy nie
wiedzą nawet jak się nazy-
wam, ale mnie znają.

— Można panią spotkać
w tramwaju, w sklepie...

— Nie mam w sobie nic
z gwiazdy i nie znoszę sy-
tuacji kiedy facet w banku
nie może zrozumieć, że ja
nie chcę być specjalnie ob-
sługiwana, bo ja lubię sobie
postać w kolejce. Wtedy
obserwuję ludzi, lubię cza-
sem wsiąść do tramwaju
i zobaczyć co tam słyszą.
Lubię jeździć na rowerze,
iść do sklepu, żeby zoba-
czyć, gdzie żyją i wśród ja-
kich ludzi żyją.

— W swoim życiu do-
świadczyła pani wielu
cierpień zarówno psy-
chicznych, jak i fizycz-
nych. Czy ogólnie jednak
los był dla pani łaskawy?

— Mam dwie ręce, dwie
nogi i ciągle gram mimo
swoich lat.
Ciągle się uśmiecham, nie
mam w sobie żadnej choro-
by, więc mogę się poczuć
najszczęśliwszym człowie-
kiem na świecie. Osiągnę-

łam pewną harmonię, rów-
nowagę psychiczną. Mam
dziecko, czyli najważniej-
sze, co chciałam mieć.
Umiem to dostrzec i myślę,
że jest wielu równie szczę-
śliwych ludzi jak ja tylko nie
chcą tego zauważyć.

— Podobno syn Michał
bardzo odmienił pani
życie.

— Odmienił, bo życie za-
czyna mieć dopiero wtedy
sens kiedy zaczyna się żyć
dla kogoś innego. Michał
uspokoił mnie, czuję się na-
prawdę potrzebna, nie
mam poczucia zagrożenia,
które miałam wcześniej.
Mimo że nigdy nie histery-
zowałam, ale ten zawód
jest taki, że w każdej chwili
można stać się zupełnie
niepotrzebnym i samot-
nym. Takich przypadków
są tysiące, a dziecku przez
jakiś czas na pewno będą
potrzebna, a potem jak mi
się uda być jeszcze jego
przyjacielem, a nie tylko
matką, to będę mu potrze-
bna całe życie.

— Podobno nie lubi pa-
ni bywać na przyjęciach,
bankietach itp.

— Nie mam siły, poza
tym to jest kompletnie
nieinteresujące.

Mój mąż odkąd jest dy-
rektorem teatru również
jest w podobnej sytuacji.
Dostajemy setki zaproszeń
na wernisaże, promocje,
otwarcia itd. Moglibyśmy
nic nie kupować tylko jeść
i pić i w ogóle żyć za dar-
mo, ale to nie ma żadnej
wartości. Owszem czasem
zdarza się spotkać kogoś
bardzo miłego, ale zwykle
to jest tak, że stoję na śro-
dku sali, podchodzą do mnie
setki osób, zadają mi pyta-
nie i nikt nie czeka na od-
powiedź. Ja z otwartymi
ustami stoję zdziwiona,
chcę odpowiedzieć, ale ten
ktoś już poszedł sobie ko-
muś innemu zadać pytanie.
Na bankietach bywają
zwykle ci sami ludzie. Takie
spotkania kompletnie mnie
nie interesują, bo jak chcę
sobie z kimś porozmawiać
zapraszam do domu, albo
idę do niego.

— Podobno pani oryginalna uroda ma źródło w
ormiańsko-litewsko-wę-
gierskich przodkach,
czy tak?

— Moja prababka była
Ormianką, a pradziadek
Węgrem. Pamiętam, że kie-
dy się złościł to mówił
w okropnie dziwnym języ-

ku. Kiedy pojechałam na
Węgry do Miklosza Janco
robić filmy, to okazało się,
że mam naprawdę zdolno-
ści językowe, bo zaczęłam
mówić po węgiersku po
dwóch tygodniach...

— Słyszałem, że buduje
sobie pani dom?

— Od pięciu lat buduję
domek, pod Krakowem, na
takim wzgórzu, z którego
widać cały Kraków. Jest
tam pięknie jak w bajce.
Domek już stoi i powoli go
urządzamy. Największą
moją radością jest ogród,
choć na skale dość trud-
no uprawia się rośliny. Już
rosną dziesiątki drzewek,
krzewów i bylin. Tam jest
moje miejsce na ziemi. Nie
chcę tam wpuszczać dzien-
nikarzy, bo nie wszystko
jest na sprzedaż. Potrzebu-
ję mieć takie swoje miejsce,
gdzie nikt z kamerą jeszcze
nie był. Przychodzą czasa-
mi dziennikarze różnych
mediów i mówią: „Niech
pani pokaże stół, sypialnię,
toaletę, muszlę klozetową”
itd. Rozumiem ciekawość
ludzi, ale to będzie moje
miejsce na świecie i ja tam
nikogo nie wpuszczę.

Andrzej Leśniewski